

# STEPHEN KING



# INSTYTUT

ALBATROS

# [RECENZJA] "Instytut" Stephen King

*nimfa bagienna*

## Problem środka

Czy zauważyliście, że najwięcej narzekań pojawia się po premierach książek najbardziej znanych i lubianych pisarzy? Oczywiście w dużej mierze mamy tu do czynienia z efektem skali. Zawsze znajdzie się jakiś odsetek niezadowolonych, a wiadomo – jeden procent czytelników dzieła pani/pana X i jeden procent czytelników Stephena Kinga to wartości nieporównywalne. Myślę jednak, że problem leży też gdzie indziej: mistrzowie wysoko ustawiają poprzeczkę. Wymagania czytelników są bardzo wywindowane w górę, czasem wręcz nierealne. Z pewnością znajdą się ludzie, którzy będą narzekali na „Instytut”, najnowsze dzieło Stephena Kinga, ale nie dajcie im się zniechęcić. O ile poprzednia książka Kinga, „Ousider”, była w moim odczuciu pozycją dość mizerną (jak na Kinga!), to „Instytut” jest dobrą powieścią, po którą bez dwóch zdań warto sięgnąć. Oczywiście ma też swoje wady, ale o tym za chwilę.

Lekturę „Instytutu” rozpoczynałam z lekkim niepokojem. Jak będzie tym razem? Czy King da radę, czy rozczaruje? Początek książki okazał się bardzo kingowski – kawał świetnej prozy obyczajowej sugerującej jedynie między wierszami, że już niedługo coś się zdarzy. Senny opis amerykańskiego miasteczka stopniowo ustępuje miejsca sensacji, a ta z kolei płynnie przechodzi w fantastykę.

W pewnej chwili autor dokonuje dość spektakularnego zwrotu i nagle opuszczamy amerykańską prowincję, by znaleźć się w tytułowym Instytucie, organizacji dziwnej i mocno podejrzanej. Paradoksalnie w tym momencie napięcie nieco siada.

W instytucie panoszy się zło, prawdziwe zło. Głównemu bohaterowi (i nie tylko jemu) dzieje się krzywda. Od pierwszej chwili podświadomie czujemy, że zagrożone jest też jego życie. Podejrzenia z czasem zmieniają się w pewność. King przedstawia kolejne postacie, bohaterowie pojawiają się i znikają w tajemniczych okolicznościach. W zamyśle ma być to straszne, ale na mnie sprawiło wrażenie pewnej mechaniczności i powtarzalności. Nadmiar szczegółów nieco przytłacza i nuży. Po iluś tam stronach mamy trochę dość i z coraz większą niecierpliwością czekamy na kolejny zwrot akcji. I tu wiadomość pozytywna: nie czeka nas rozczarowanie. Zwrot akcji w rzeczy samej następuje. Znowu się dzieje. I to dzieje się znowu w znanym, dobrym, kingowskim stylu.

„Instytut” to książka, w której znajdziemy dokładnie to, za co tak kochamy Kinga. Przede wszystkim jest dobrze opowiedziana historia. Kładę nacisk na „dobrze opowiedziana”, bo wiadomo, że najlepszy pomysł można uśmiercić, przekazując go w sposób nudny. King jest mistrzem słowa. Wie, gdzie należy przyspieszyć, a gdzie zwolnić. Gdzie dać opis, a gdzie dialog. Gdzie wyłożyć kawę na ławę, a gdzie ograniczyć się do niedopowiedzenia i aluzji. Język ma wartki, na tyle charakterystyczny, by można było rozpoznać rękę mistrza, lecz jednocześnie na tyle przezroczysty by nie przesłonił opowieści. Tłumacz tego nie zepsuł, za co należą mu się oddzielne podziękowania.

Wyobraźnia. Tej nie sposób odmówić Kingowi. Pomysły wykorzystane w „Instytucie” nie są co prawda ani specjalnie nowatorskie, ani odkrywczyste, ale zostały wykorzystane niezwykle umiejętnie. Autor z wdziękiem poskładał znane elementy tak, że nabrały nowego życia. Już po zakończeniu lektury widzimy, że to wszystko (albo prawie wszystko) już było, tyle tylko, że wcale nam to nie przeszkadza, bo tekst nie jest ani trochę wtórny. A poza tym to po prostu dobrze się czyta.

Bohaterowie. Udali się Kingowi przednio. Mamy w „Instytucie” galerię klasycznych postaci: są dzieci o nadprzyrodzonych zdolnościach, jest życiowy nieudacznik, jest małomiasteczkowy szeryf, jest

fanatyczny geniusz zła i jest najbardziej klasyczna z klasycznych Osoba, Która W Zasadzie Jest Dobra, Ale Miała Trudne Życie. Jednak pióro Mistrza dało radę – kreacja bohaterów ani na chwilę nie wpada w sztampe. Postaci są pełnokrwiste, wielowymiarowe, każda z nich ma swoje w pełni wiarygodne motywacje.

*I last but not least* – atmosfera. King jest mistrzem w jej budowaniu. Jedyne za pomocą słowa potrafi wyczarować marazm małego miasteczka, sterylność i grozę instytutu, fanatyzm nielegalnej organizacji. Tekst pełen jest emocji. Tych złych i tych dobrych. Wręcz czujemy, jak buzują i niepostrzeżenie udzielają się czytelnikowi. Wraz z bohaterami książki cieszymy się, martwimy, boimy. Nie tylko śledzimy losy postaci, lecz wraz z nimi przeżywamy kolejne wydarzenia.

Gdyby nie wspomniany wcześniej nieco przegadany środek, powiedziałabym na zakończenie, że King wrócił do dawnej formy, jednak jest, jak jest, i powiem tylko, że King w dobrym tempie wraca do dawnej formy.

*Agnieszka Chodkowska-Gyurics*